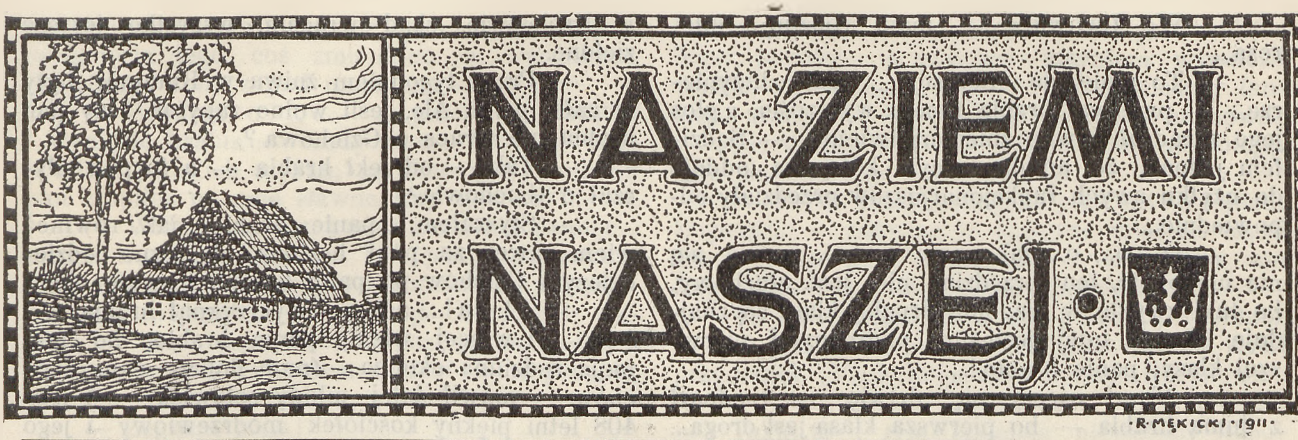
NUMER 15 SIERPIEŃ 1911. ROK III.



DODATEK LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“.
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Sonet.

Błogosławione niech będą klawisze,
co tonem nikłym — jakim szemrzą zdroje
wsiąkają w pracę, w myśli i w sny Twoje
i napełniają rozgwarem Twe cisze.

Błogosławione niech będą spokoje,
w których się słodka piosenka kołysze,
Chociaż przebrzmiała, ja tony jej słyszę
i swą rozdrganą lutnię w jej takt stroję.

Błogosławione niech będą Twe oczy,
dobroci jasnej pełne, pełne siły
co rozwichrzenie serca ukoiły,

Wiodąc na drogę widną z mrocznych zboczy.
Błogosławiona godzina wytchnienia
co chaos uczuć w myśl-światło zamienia.

BOLESŁAW ANC.

BOŻEK Z HURYNOWA.

STRZĘPEK Z PIELUCH AUTONOMII.

Na torze przylegającym bezpośrednio do peronu dworca Czerniowieckiego we Lwowie, stał pociąg złożony tylko z pięciu wagonów i lokomotywy, która jak koń stepowy, ściągnięty ostrym wędzidłem, szumiała, parskała, pieniła się, rwąc do biegu. Nie wydzwoniono jednak jeszcze trzeciego uderzenia, ani świstawka sygnałowa jeszcze się nie odezwała, bo było to w tych szczęśliwych czasach, kiedy podróżny kierując się dzwonkiem stacyjnym mógł bezpiecznie do ostatniej chwili ociągać się z wsiadaniem do wagonu.

Było to wówczas jeszcze, kiedy dla wielkiej wygody podróżnych, każda kompania kolejowa wyprawiała pociągi ze swego dworca, a dla większego bezpieczeństwa służby kolejowej, wagony komunikowały się ze sobą tylko za pośrednictwem stopni, a przedziały ich miały tylko boczne wejścia.

Jednem słowem, był to pociąg pospieszny, przygotowany do odejścia w kierunku Rumunji.

Godzina była wczesna rano, ruch na peronie dość ożywiony, bo drugie dzwonienie już przebrzmiało w powietrzu.

W przedziale wagonu, pomalowanego na żółto, na fotelu obitym także żółtem suknem, rozsiadł się wygodnie młody człowiek, porządkując obok siebie różne drobiazgi do podróży potrzebne.

Pociąg miał już ruszyć, gdy z trzaskiem otworzyły się drzwi wagonu, a do przedziału wszedł poważnie bez pospiechu mężczyzna trochę szpakowaty, za którym posługacz wsunął mały, ręczny kuferek.

Nowo przybyły spojrzał przed siebie, zmarszczył brwi, zrobił ruch, jakby się chciał cofnąć, gdy wtem uderzył dzwonek po raz trzeci, drzwiczki z trzaskiem się zamknęły, gwizdawka świsnęła i pociąg ruszył z miejsca.

Podróżny machnął ręką, jakby na znak zniecierpliwienia i rezygnacyi, poczem zajął miejsce na fotelu krańcowo przeciwnym, zajętemu przez poprzedniego pasażera, niedbale dotknął kapelusza, na znak powitania tego ostatniego.

— Moje uszanowanie panu hrabiemu — rzekł młody człowiek, odpowiadając uprzejmym ukłonem.

— A... a... a... to pan inżynier... jeżeli się nie mylę... — wyksztusił lekceważąco pan hrabia.

— Tak jest, do usług pana hrabiego. Widać, że się zmieniłem przez cztery lata...

— Tego... ja... nie wiem... Lecz... naprawdę... nie spodziewałem się... znaleźć tutaj pana...

— A... a... pan hrabia zapewne słyszał, że mieszkam obecnie w Rumunii...

— Wcale nie... bo losem pana... inżyniera... nie zajmowałem się.. ale... tu... w tem... miejscu...

— We Lwowie? — mam rodzinę, interesa...

— To mnie nie interesuje... panie inżynierze... — przerwał hrabia tonem wyższości, a głos jego zdradzał pewne zniecierpliwienie. — Sądziłem jednak, że administracya kolejową oddaje do użytku swych funkcjonarjuszów przedziały odpowiednie...

— O... o... o... tak panie hrabio, proszę się nie niepokoić, ten przedział nie jest służbowy, bo taki zwykle w wagonie drugiej klasy się znajduje. My zaś tutaj jesteśmy podróżnymi pierwszej klasy, panie hrabio!...

— Tem więcej się dziwię — odparł z dumą hrabia — bo pierwsza klasa jest droga...

— Ma pan słuszność, panie hrabio i pozwól, że dopełnię twej niedokończonej myśli — z dwuznacznym uśmiechem podjął młody człowiek — klasa pierwsza jest niezaprzeczenie droga, a dochody ludzi pracujących są zwykle niewielkie. Tak, niestety, uwaga słuszna i dlatego, podróżując swoim kosztem i trzecią klasą nie wstydzę się jechać, żałuję nawet, że czwarta nie istnieje.

— Lecz stanowisko moje urzędowe nadaje mi pewne prawa, z których nie korzystać byłoby dzieciństwem, przyzna to pan hrabia.

— Tak jest, panie inżynierze — odrzucił mniej sztywnie hrabia — a stanowisko pańskie musi być wysokie... nadając panu prawo do pierwszej klasy, ale... administracje kolejowe winnyby zawsze więcej dbać o wygodę i swobodę w wyborze towarzystwa podróżnych, opłacających tak drogą taksę... gdy zdarza się...

— Słusznie, bardzo słusznie, panie hrabio — mówił ironicznie młody człowiek — postaram się wpłynąć, aby sfery towarzyskie były przy rozdziale miejsc, jak najsurowiej przestrzegane... Czy to nie pociągnie za sobą pewnych trudności?... nie ręczę... Tymczasem radziłbym panu hrabiemu, aby od konduktora zażądał innego przedziału, co... za opłatą trzech miejsc... jest możliwe...

Tu rozmowa się urwała, hrabia pochmurny z widocznem niezadowoleniem zwrócił się do okna, a inżynier ze złośliwym uśmieszkiem śledził jego ruchy.

Ruchy te jednak nie mogły być ożywione, bo szpakowata głowa hrabiego z wydętą twarzą, przytwierdzona była do nieruchomego karku, tak że każdy obrót tylko całym korpusem był mu możebnym. Cały wyraz twarzy i postawy wraz z pogardliwie wydętemi wargami znamionowały pychę człowieka, przywykłego do rozkazywania.

Pociąg tymczasem pędził dalej i dalej... Pola i lasy migały szybko przed oczami podróżnych. Malownicza szachownica pasów zielonych, płowych, żółtych a nawet czerwieniejących z miedzianym odbłyskiem, zmieniała się co chwila.

Kilka stacyj już minęło, gdy hrabia jakby się nagle ocknął, zapytał:

— Czy żniwa są już w Rumunii? — bo tu jak widzę, lada dzień nadejdą, gdy tymczasem w Królestwie, skąd wracam, wszystko jeszcze zielone.

— Przed tygodniem żniwa w Rumunii były w całej pełni. Ale, jeśli wolno zapytać, czy pan hrabia nie wraca z Gzichowa?

— Tak — odrzekł hrabia — a to pan słyszał o Gzichowie?

— Słyszałem, panie hrabio, jak również wiem nawet, że pani hrabina niedawno odziedziczyła Gzichów po panu baronie, swym ojcu...

— A!.. a!... a!... — wykrzyknął hrabia.

— I więcej wiem, panie hrabio, bo tam moja rodzinna okolica... Znam dobrze sam Gzichów — mówił dalej młody człowiek — i jego 408 letni piękny kościółek modrzewiowy i jego śliczne lasy i rybne stawy i jego folwarki Mięsowa, Osowa, Mniszek i inne... Śliczny to majątek, można powinszować panu hrabiemu posiadania go.

— Znam to wszystko dość szczegółowo — mówił, ożywiając się coraz więcej inżynier — choć już kilkanaście lat tam nie byłem i wątpię, czy kiedy będę...

Hrabia miał minę zaciekawioną, a młody człowiek jak w halucynacji prawił dalej:

— Przed laty odwiedzałem tam mego szwagra, który zarządzał Gzichowem z ramienia barona...

— I kradł go zapewne należycie — przerwał porywczo hrabia.

— Przepraszam, panie hrabio! — rzekł z zimną stanowczością inżynier — mój nieboszczyk szwagier był uczciwym człowiekiem i raczy pan hrabia cofnąć podejrzenie, uwłaczające pamięci jego!

— To... tak... panie inżynierze... — wykształcił zmieszany nieco, choć nie stropiony hrabia. — Ja przepraszam pana za mój wykrzyknik, który mi się wyrwał mimowolnie. Nie miałem zamiaru obrażać pamięci szwagra pańskiego i wierzę w jego uczciwość na słowo pańskie, lecz pozwoli pan, że co do ogółu rządców, zostanę przy mojem przekonaniu.

— Zadawalam się tem odwołaniem, lecz zrobi mi pan hrabia wielką przyjemność, powstrzymując się od wyjaśnienia mi swoich poglądów na uczciwość ludzi pracy.

Hrabia wydął jeszcze lepiej wargi i z lekceważeniem obrócił się ku oknu.

I znowu pociąg mijał stacye, pola, łąki i lasy, rzeki i mosty a milczenie panowało między dwoma podróżnymi.

Nagle przedłużony świst lokomotywy dał znak zbliżania się do większej stacji.

Pan hrabia poderwał się a zbierając swoje manatki, rzekł wyniośle:

— A jednak... panie inżynierze... pomimo pańskiej opozycji... mam wodę... w moim stawku... w ogrodzie...

Po chwilowem zastanowieniu się, jakby zbierając wspomnienia, inżynier odparł:

— Cieszę się tem, panie hrabio i winszuję

tej zdobyczy, lecz przyznać pan musi, że dla osiągnięcia tego coś zmieniono w warunkach chwytania wody z pod mostu na szosie?...

— Mniejsza o to!... — przerwał szorstko i wyniośle hrabia — wodę mam... i kwita! a to pomimo pańskich szykan, za które jeszcze mnie pan złupiłeś na owe sławne trzy siekierki!...

— Widzę... że pan hrabia ma dobrą pamięć... odparł ironicznie inżynier, lecz pociąg się zatrzymał, a hrabia zaperzony i zarumieniony z podniecenia wewnętrznego, pchnął drzwiczki wagonu i nie czekając na posługacza, jednym skokiem wraz z kuferkiem znalazł się na peronie, rzucając z lekceważeniem:

— Żegnam pana!

Inżynier wychylił się i wesołym a donośnym głosem posłał za odchodzącym hrabią:

— Moje uszanowanie panu hrabiemu!

. . . .

Pociąg odsapnąwszy trochę, znowu pomknął przed siebie, lecąc i lecąc bez końca, unosił z sobą osamotnionego, w swym przedziale pierwszej klasy, młodego inżyniera. Trwało to długie godziny, bo aż do granicy rumuńskiej, gdzie ludzie mają sobie za punkt honoru jeździć tylko pierwszą klasą.

Samotny podróżny miał więc czas do rozmyślań a śmieszna scena, jaką mu ów hrabia wyprawił, przywiodła na pamięć zdarzenie, zaszłe przed 4 lub 5 laty.

Był on wtedy inżynierem w służbie autonomii galicyjskiej. Wydział powiatowy na żądanie pana hrabiego zakomunikował mu raz pisemne podanie o pozwolenie uchwycenia wody ze strumienia, zamieniającego się często w potok, tuż z pod mostu drogi krajowej.

Obowiązkiem inżyniera było sprawę zbadać i o niej zaopiniować. W tym celu udał się on do Hurynowa z dwoma robotnikami i zrobił odpowiednie zdjęcie niwelacyjne. Okazało się, że aby wziąć wodę we wskazanem miejscu, trzeba było podnieść stały poziom strumyka o jakie dwa metry, co spowodowałoby wytworzenie jeziora na sto kilkadziesiąt metrów w górę mostu, tak, że most i kilka gospodarstw włościańskich byłyby stale wodą zalane. Opinia więc wypadła niepomyślnie dla pana hrabiego a wzięcia wody w tych warunkach odmówiono. Koszta zaś inżynierowi do zwrotu, według taks obowiązujących, wyniosły 7 złr. 77 ct.

Tą decyzyą duma hrabiego musiała być głęboko dotknięta, a srogi gniew przebijał z odpowiedzi, danej wydziałowi powiatowemu. Zaprotestował on: „przeciw nowym porządkom, gdzie jakiś tam przybłęda, płatny sługa kraju, śmie narzucać swoje poglądy jego obywatelom, odmawiając słusznym ich żądaniom; a przy tem nakłada na nich kontrybucje, pod postacią kunsztownie wyprowadzonego rachunku, do sumy trzech siekierek“...

. . . .

Ostatecznie pod naciskiem wydziału, pan hrabia te 7 złr. 77 ct. zapłacił, lecz jak widzieliśmy, pomimo, iż następcy inżyniera wynaleźli środek, aby zadość uczynić wielkopańskiej fantazji, urazę swą i po latach w sercu zachował.

Nie darmo to swym włościanom, powołującym się na Pana Boga, mawiał:

— Tu, w Hurynowie, ja tylko jestem Panem Bogiem!... — mówiąc to zapewne miał na myśli Jehowę, tego boga zawziętości i zemsty, a nie Boga miłości i przebaczenia chrześcian...

Ta autonominacya w całej okolicy zupełnie się przyjęła i aż do śmierci pan hrabia nosił przydomek „Pana Boga albo bożka z Hurynowa“.

. . . .

Takie to i tym podobne niewesołe wspomnienia tłoczyły się w głowie młodego człowieka skazanego losem na powtórną tułaczkę — a pociąg pędził i pędził przed siebie, unosząc go do kraju i ludzi, obcych mu sercem i mową!

. . . .

Z ZABIEGÓW ZBIERACZA.

Ciekawy przyczynek do charakterystyki zbieraczy polskich znajdujemy w świeżo wydanej monografji o Ludwiku Bierkowskim, napisanej przez p. Adama Wrzoska[1]. Pamięć o Bierkowskim (ur. 1801, um. 1860 r.), sławnym uczonym, chirurgu i profesorze uniw. Jagiellońskiego, nie przeszła do potomności mimo, iż należała mu się ona prędzej i zasłużenie, jak wielu innym, chociażby i nie byle jak sławnym za swego żywota. Wdzięczność należy się p. Ad. Wrzoskowi za to, iż nie drobnym artykułem jakimś, lecz odrazu pracą wielką i rzeczywiście cenną wzniósł mu pomnik wspaniały, godny męża pierwszego kiedyś w narodzie. Każdemu chętnemu zaznajomienia się z życiem i działalnością znakomitego tego uczonego, polecamy do przeczytania nadzwyczaj pięknie i interesująco opracowaną monografję p. Ad. Wrzoska, z której wyjmujemy tylko jeden niezmiernie ciekawy szczegół, charakteryzujący L. Bierkowskiego jako zapalonego zbieracza-bibliofila. Prócz gromadzenia bowiem preparatów anatomiczno-patologicznych do mueum swego, istniejącego przy wydz. lekarskim uniw. Jagiellońskiego, trudnił się kompletowaniem księgozbioru dzieł lekarskich, których liczba doszła pokaźnej cyfry 1200 książek i atlasów.

W księgozbiorze tym, którego katalog znajduje się w krakowskiem Muzeum historji medycyny, były dzieła dawnych pisarzów medycznych, osobliwie polskich, a prócz nich także bardzo wiele współczesnych dzieł medycznych w języ-

---

[1]) Ad. Wrzosek. Ludwik Bierkowski. Rocznik lekarski, wyd. przez Wydział lekarski uniw. Jagiell. i Tow. lek. krakowskie. Kraków 1911. Tom II. zesz. II. str. 141—313 (z portret.)

kach polskim, niemieckim, łacińskim, angielskim i francuskim. Wśród dzieł dawnych autorów znajdowały się pisma Hippokratesa, Galena, Avicenny, Vesala, Fabriciusa ab Aquapendente, Harreya i w. inn. Z bogatego tego księgozbioru Bierkowskiego nie on sam jeden korzystał; korzystali z niego również uczniowie jego, a nawet uczeni. Mogli oni w oznaczonych dniach i godzinach przychodzić do jego mieszkania i tam korzystać z jego biblioteki. Po śmierci właściciela, księgozbior został sprzedany na licytacji.

Jeden z najcenniejszych egzemplarzy biblioteki Bierkowskiego znajduje się obecnie w Poznańskiem Tow. Przyjaciół Nauk, któremu ofiarowała go rodzina Bierkowskiego. Okazem tym, uważanym przez samego Bierkowskiego za najdroższą i najcenniejszą pamiątkę bibliograficzną polską, był Zielnik Syreniusza, pięknie iluminowany, nabyty w r. 1890 r. w stanie niekompletnym w Wilnie od profesora chirurgji Porcyanki. Historję nabycia tego egzemplarza do zbiorów swoich, tudzież dziesięcioletnie starania około uzupełnienia jego i zrestaurowania, skreślił i umieścił Bierkowski na czele wspomnianego egzemplarza, przechowanego obecnie w Poznaniu. Zapisek ten przedstawia bardzo ciekawy szczegół dla historji zbieractwa w Polsce i ze wszechmiar zasługuje na zwrócenie nań uwagi, jako na ciekawy w swoim rodzaju dokument, świadczący tak o kulturze osobistej L. Bierkowskiego, jak i jemu współczesnych.

„Będąc w Wilnie w roku 1893 — powiada w historyi tej, dołączonej do Zielnika L. Bierkowski — w celu potwierdzenia tamże stopni moich lekarskich w Lipsku poprzednio otrzymanych, nabyłem od tamecznego Profesora Chirurgji, P. Porcyanko, w zamian za różne książki chirurgiczne, wprawdzie nadzwyczaj rzadki, ale bardzo niekompletny egzemplarz Zielnika Syreniusza. — Egzemplarz ten umieszczony był w pięciu wielkich tekach pergaminowych (każda księga w osobnej), w których znajdował się oprawny sam czysty papier, częścią wszyty, częścią sznurkami jedwabnymi barwy białej i czerwonej przytwierdzony, widać do przekładania kart tego zielnika wyłącznie służący. Trzy arkusze zielnika, jeden arkusz czystego papieru w tekę wszyty i trzy arkusze samego papieru pomiędzy arkuszami drukowanymi stanowiły jeden fascykuł sznurkiem jedwabnym, jak to zwykle w pugilaresach bywa, do teki przytwierdzony. Arkusze Zielnika były zupełnie nowe, bynajmniej nie obszywane, bez śladu szwów na grzbiecie, a zatem dowód najlepszy, że nigdy nie były oprawne. Do tego papier był klejowy. — Wszystkie rośliny były bardzo starannie illuminowane, ale na wielu kartach nieco wypełznięte, a niektóre nawet, równie jak i wiele innych miejsc pobrudzone i poplamione wkładanemi przez kogoś pomiędzy karty roślinami świeżemi naturalnemi, które zapewno pomiędzy niemi zasuszano. Na marginesach papieru były suche rośliny przylepione.

Tytuły, przemowy Gabryela Joannicego, rejestru przodkowego, brakowało zupełnie:

W pierwszej księdze brakowało pierwszych dwanaście kart aż do str. 25.

W drugiej księdze brakowało w środku w różnych miejscach razem kart szesnaście.

W trzeciej księdze było wszystko.

W czwartej księdze brakowało dziesięciu kart w różnych miejscach po dwie.

W piętej księdze brakowało w środku kart ośm i w końcu począwszy od str. 1508 brakowały wszystkie karty tekstu i rejestra dzieła.

Widać, że ktoś z tego arcypięknego egzemplarza ręką świętokradzką i barbarzyńską powydzierał karty dla uzupełnienia innego. Profesor Porcyanko otrzymał ten egzemplarz w darze od pewnego Plekowa w małem miasteczku na Litwie w roku 1822, dowiedziawszy się od niego tylko tyle, że ten egzemplarz pochodzi od jego dziada, który był niegdyś zawiadowcą biblioteki Radziwiłłów w Nieświeżu. Być więc bardzo może, a nawet wielkie jest podobieństwo, że ten egzemplarz pochodzi z biblioteki Nieświeskiej. Zdaje się, że ten egzemplarz w swoim rodzaju jedyny musiał być dla kogoś bardzo cenionego umyślnie z tak wielką pracą sporządzony, na klejowym papierze odtłoczony a potem jak najstaranniej illuminowany; może być nawet, że przez samego wydawcę Gabryela Joannicego królewnej Annie, której to dzieło przypisał, lub innemu jakiemu dygnitarzowi w darze był ofiarowany. Śniadecki Jędrzej, który ten egzemplarz u Porcyanki oglądał i ze mną i nim mówił był takiego zdania. Nadto powiadał mi Prof. Śniadecki, że brakujące w tym Zielniku karty, prawie wszystkie widział przed 10 laty u Dra Rosołowskiego w Wilnie, któremu jeden z uczniów uniwersytetu, krewny owego X. Plebana, od którego ten piękny egzemplarz pochodzi, inny zwyczajny egzemplarz defektowy Zielnika Syreniusza uzupełnił. O ten egzemplarz usilnie się starałem, ale Dr Rosołowski już go był przed kilku laty darował Panu Woelk, aptekarzowi w Wilnie, a temu podobno skradł go jeden z aptekarczyków i nie wiadomo gdzie się teraz znajduje. Dr Rosołowski powiadał, że z temi kartami zielnika, które posiadał, dostała mu się jedna karta pergaminowa tego co karty Zielnika rozmiaru, na której była piórem robiona i pięknie ubarwiona obwódka i trzy ozdobne winiety, z napisami nieco wypełzniętemi i przytłuszczonemi, których treści P. Rosołowski ściśle nie badał, a zatem nic od niego w tej mierze dowiedzieć się nie mogłem. Ten pergamin był z oprawy nożem wykłuty i zapewne kiedyś znajdował się w tej pierwszej tece pergaminowej zielnika, teraz w moim księgozbiorze będącego, bo właśnie w tej pierwszej tece, pomiędzy pierwszą a drugą próżną kartą znajdował się wszyty pasek białego pergaminu, który niewątpliwie był resztą całej karty pergaminowej stamtąd wyciętej.

Chcąc na wszelki sposób uzupełnić piękny swój egzemplarz, postanowił L. Bierkowski za

wszelką cenę zdobyć brakujące karty z innych egzemplarzy zdefektowanych. O ile te trafiły mu się, to zawsze za wąskie były lub za krótkie do jego egzemplarza. Dopiero w r. 1830. w miesiącu sierpniu jeden z antykwarzy warszawskich, który po odpustach z nowemi książkami do nabożeństwa jeździł, a wszędzie jakiebądź stare książki wzamian lub za gotowe pieniądze nabywał, przywiózł mi z Częstochowy nabyty od tamecznego zakonnika egzemplarz Zielnika Syreniusza wprawdzie bez tytułu i co do księgi 1, 2 i 3 bardzo potargany, ale w formacie wielkim mało co oberznięty. Dwie księgi ostatnie t. j. 4-ta i 5-ta były tak dobrze zachowane i tak piękne, że z nich wszystkie brakujące w moim egzemplarzu karty księgi czwartej i wszystkie do księgi piątej, wyjąwszy rejestrów, których i tam brakowało, dobrałem. W r. 1834 znalazłem u antykwarza P. Ambrożego Grabowskiego, tu w Krakowie, także bardzo piękny i do mojego pod względem rozmiarów formatu bardzo zbliżający się egzemplarz, którego tytuł był jednakże bardzo potargany. Kupiłem go za 200 złp. Nareszcie w r. 1836 udało mi się kupić od antykwarza żyda w Krakowie za 20 złp. egzemplarz tegoż zielnika na początku i w końcu bardzo a nawet zupełnie zniszczony i potargany, którego tytuł, będąc po wydarciu na połowę wpoprzek zgięty i w środek książki włożony, od dalszego zniszczenia ocalał. Był on jeszcze dosyć dobry, brzegami nieco potargany. Uzupełniwszy mój piękny egzemplarz tymi trzema nabytymi, oczyściłem go z brudu, plam i moli, odświeżyłem własną ręką i illuminowane drzeworyty, tudzież wyilluminowałem czarne na kartach dobranych będące, co wszystko dopiero po upływie trzech lat przy wielkiej i mozolnej pracy obok nakładu nie małych kosztów w r. 1839 ukończone zostało. Chodziło teraz tylko o oprawę odpowiednią zupełnie czasowi, w którym dzieło Syreniusza drukowane było, bo wówczas introligatorowie zupełnie inaczej książki zszywali. — Z egzemplarza od antykwarza żyda kupionego nadała się dość jeszcze dobra okładka; grzbiet zaś w niej zupełnie zniszczony z innej książki dobrano i z okładkami spojono. Spinki oryginalne są od egzemplarza u Am. Grabowskiego nabytego odjęte i tu przyprawione, bo okładki same i grzbiet u tamtego były bardzo zniszczone. — Egzemplarz ten Zielnika Syreniusza tak arcypiękny, niewątpliwie pod względem pochodzenia swojego pierwotnego osobliwy i zapewne jedyny w swoim rodzaju, bo mieści w sobie wszystkie obrazki roślin wiernie podług natury ubarwione, jest niesprzecznie wielkiej wartości. Mnie samego oprócz tylu zachodów i własnoręcznej mozolnej pracy przez lat trzy, kosztował ten egzemplarz bardzo wiele.

Wszystkie koszta wydane na trzy osobno nabyte egzemplarze, tudzież na wyilluminowanie drzeworytów i na oprawę (42 złp.) wyniosły razem 800 złp. Nie dziw więc, że L. Bierkowski sam cenił swoje trudy i pracę, włożone w uzyskanie pięknego swego kompletu i z wielką troskliwością obchodził się z nim, trzęsąc się nad jego zachowaniem kiedyś po śmierci swojej. Uprasza więc „każdego, komu się on (Zielnik) kiedyś do rąk lub księgozbioru dostanie, aby go po mojemu jakby klejnot jaki ojczysty pielęgnował i szanował, aby go jako jedynego z pomiędzy wszystkich znajdujących się jeszcze w naszej Polsce egzemplarzy tego dzieła, jakby księcia jakiego z pomiędzy ksiąg polskich lekarskich w najpóźniejsze wieki ku podziwieniu przyszłemu pokoleniu naszych uczonych ziomków bez uszkodzenia w całości przechować można. — Od chwili odebrania tego egzemplarza od introligatora, nigdy go z domu nie wydawałem i strzegę go ciągle jakby oka własnego i sam biorę go do ręki zawsze z wszelką ostrożnością i poszanowaniem. Nikomu go oprócz znawców, księgę tę cenić mogących i wielbicieli zabytków naszej literatury nie pokazywałem i nie pokazuję i każdy może sobie za wielki poczytać zaszczyt i uprzejmość z mej strony, jeżeli go kiedy u mnie zobaczy. Za życia mego nie dostanie się on w ręce żadnego profesora i tylko do zamożnego księgozbioru polskiego na ziemi naszej ojczystej, gdzieby mu najstaranniejsze pielęgnowanie i bezpieczną ochronę zapewnić można, gotówbym go, jakkolwiek z wielką boleścią serca odstąpić i to jedynie w tym celu, aby się po najdłuższych dnia życia mojego nie dostał przypadkiem w ręce nie umiejącego go cenić i szanować, a tem samem nie uległ przypadkiem zniszczeniu. — Skreśliwszy ile być może dokładną historję tego arcypięknego i jedynego egzemplarza Zielnika Syreniusza, dzieła, które z wszystkich w moim księgozbiorze będących, najwięcej polubiłem, sądzę, że uczyniłem z mej strony wszystko co mu do przynależnej czci, ochrony, bezpieczeństwa i jak najdłuższego istnienia posłużyć będzie mogło. Niedosyć jest ocalić starą ważną książkę od zagłady na teraz, ale postarać się także potrzeba, aby ją następni posiadacze obeznawszy się z jej wartością, pod każdym względem w daleką przyszłość bez zniszczenia przechowali.

Pisałem w Krakowie w rocznicę urodzin moich dnia 16. sierpnia 1840 r.

Ludwik Bierkowski

Profesor publ. zwycz. i Dyrektor kliniki Chirurgicznej Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Umiłowanie podobne drogiej sobie książki zrozumiałe jest tylko dla czystej krwi zbieracza, który w posiadanym egzemplarzu coś więcej widzi ponad zwykle przywiązywane do książek wartości. Ile starań i zachodów łożył on naprzód na skompletowanie swego Zielnika, później na zrestaurowanie go i wreszcie oprawienie w oprawę „odpowiednią zupełnie czasowi, w którym dzieło Syreniusza drukowane“? Kiedy w końcu odebrał od introligatora swe arcydzieło, odetchnął spokojnie po dziewięciu latach, od chwili nabycia Zielnika od prof. Porcyanki i jak Argus legendarny stał na straży jego bezpieczeństwa. Dwadzie-

ścia lat przed śmiercią zabezpiecza dziełu „które z wszystkich w moim księgozbiorze będących, najwięcej polubiłem“ — jak nam powiada — przyszłość, kreśląc na czele kart jego całą historję nabycia, jaka każdemu wyjaśnić miała niezwykłą wartość księgi, którą w rękach swych posiada. I kto wie, czyby nie została ona zatracona razem z innemi książkami na licytacji, gdyby nie to pouczenie, dzięki któremu rodzina zachowała ją i w całości otrzymaną ofiarowała do zbiorów Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu, które w ten sposób posiadło jeden z najcenniejszych w całej Polsce zabytków.

J. B.

KONSERWACJA ZABYTKÓW DREWNIANEJ ARCHITEKTURY CERKIEWNEJ.

Liczne w ostatnich czasach wypadki burzenia starożytnych drewnianych cerkwi wywołały u ludzi, ceniących je i rozumiejących ich wartość, chęć zapobieżenia złemu, tudzież wzmogły zainteresowanie się niemi u coraz to wzrastającego zastępu pracowników. Rozmaitemi metodami i sposobami posługują się wszyscy oni, zwracając uwagę przedewszystkiem na gromadzenie fotografji i rysunków ciekawszych typów architektonicznych. Praca podobna musi mieć jednak i swoje złe strony, któremi w tym wypadku są przedewszystkiem brak — zgodnej a systematycznej działalności, brak wzajemnego porozumienia się co do akcji zbadania i opisania wszystkich cerkwi drewnianych w kraju, tudzież nieumiejętność prowadzenia podobnego przedsięwzięcia.

Najdotkliwej zwłaszcza daje się odczuć brak pewnego, na racjonalnych podstawach opartego systemu, którego wszyscy badający drewniane budownictwo cerkiewne trzymaliby się bezwzględnie. Dotychczas bowiem każdy pracuje według własnego przez się urobionego systemu, który zależnie od nabytego doświadczenia i nagromadzonej wiedzy, mniej lub więcej nie odpowiada celowi. Ze znanych mi n. p. ludzi, zajmujących się badaniem cerkwi drewnianych, żaden nie zgadza się z drugim co do sposobu traktowania swych studjów, uzależniając go od subjektywnych swych upodobań i przekonań. Tak n. p. pewien architekt zajmuje się niemi o tyle tylko, o ile przedstawiają one (w poszczególnych wypadkach) cenne okazy budownictwa drewnianego; bez względu więc na terytorjum, na którem się one znajdują i bez zwracania uwagi na wiek ich i pochodzenie, traktuje je wszystkie jako bardzo interesujące, mniej ciekawe i zupełnie nie ciekawe. Podziału zaś podobnego dopuszcza się, opierając się jedynie na własnych spostrzeżeniach i badaniach, nie oglądając się całkowicie na pracę innych.

Klasyfikowanie takie ma tę złą stronę, iż jeśli godzimy się na to, że budownictwo nasze cerkiewne zupełnie dotychczas jest nieznane, to w konsekwencji przyznać musimy niekompetencję naszą do przedwczesnego wydawania sądów o rzeczach nam nieznanych. Cerkiew jakaś drewniana może rzeczywiście nie stanowić żadnej wartości na oko, ale kto wie czy szczegół pewien lub nawet i cała „nieciekawa“ ta całość nie zyskałaby na wartości, gdyby ją oglądnął ktoś wprawnem i powołanem do tego okiem. Jednem słowem, ażeby być w stanie wyrokować o tem całkiem apodyktycznie, należałoby uprzednio lepiej zaznajomić się z samą rzeczą, co oczywiście możliwe jest do osiągnięcia dopiero po długich, uprzednich badaniach, których zadaniem byłoby wykazanie i ustalenie pewnych zazadniczych punktów. Przy ich dopiero pomocy będziemy w stanie całkiem już odważnie wydawać wyroki śmierci na zgrzybiałych starców, którzy tak obficie padają obecnie ofiarą „wytrawnych“ sądów najrozmaitszych znawców. Każdy taki publikowany wyrok zmusza mię do podziwiania wiedzy i znajomości rzeczy u surowych sędziów, którzy nie mając do dyspozycji żadnych ustaw ani kodeksów nie mniej stanowcze ferują wyroki, streszczające się w słowach: »można rozebrać, cerkiew nie ciekawa“.

Nie powiadam, iżbyśmy na razie nie byli całkowicie uprawnieni do wydawania opinji w poszczególnych wypadkach, ale stanowczo już nie zgodziłbym się na to, iżby sądowi takiemu podlegać miały wszystkie cenne te zabytki. Uwagę zaś moją ująłbym na razie w zasadę, iż bezwarunkowo nie należy zezwalać na demolowanie żadnych cerkwi drewnianych, jak tego też żąda ostatni, zeszłoroczny okólnik komisji centralnej we Wiedniu. Zasada ta obowiązywać powinna nas bez tolerowania znaczniejszych wyjątków do chwili, kiedy ogłoszone prace naukowe na tyle zdołają wyjaśnić zagadnienia i kwestje, związane z cerkiewną architekturą drewnianą, iż będziemy już w stanie oceniać należycie wartość i znaczenie poszczególnych okazów i zabytków. Jeśli bowiem wyroki podobne wydawane być mają w imię wiedzy i nauki, to chyba całkiem jest racjonalnem, iż takimi też być one powinny.

Wszyscy chyba przyznać musimy, iż w ocenach podobnych opieramy się jedynie na własnych sądach i przekonaniach, które mogą dla nas samych posiadać jak największą wartość, nie stanowiąc jej jednak dla osób innych. To więc, co dla nas jest nie ciekawem, nie koniecznie będzie takiem dla kogoś innego. Znanem zaś jest, iż dla nieświadomych i ubogich umysłem wszystko właśnie jest nie ciekawe i nie interesujące; baczyć więc należy, iżby w sądach podobnych nie brała górę nasza ignorancja, lecz żeby opierały się one silnie na niewzruszonej podstawie.

Podstawą zaś taką mogą być ściśle nauko-

we prace z tej dziedziny, jakich — jak do teraz nie posiadamy wprost ani jednej. Jakimi zatem, jak nie ściśle jedynie subjektywnymi argumentzmi, możemy popierać nasze wnioski i sądy w kwestji zabytków cerkiewnej architektury drewnianej? Takie zaś sądy nie mogą chyba rościć sobie praw do pewnej powagi i znaczenia. W nauce bowiem miarodajną być musi nie osobista impresja, lecz jedynie i przedewszystkiem wyniki krytycznych rozstrząsań i badań. Na nich dopiero w przyszłości oprzeć się będziemy mogli całkiem już pewnie, nie obawiając się popełniania dotkliwej pomyłki, których tak długi do dzisiaj szereg musi być dla nas wyrzutem sumienia.

Wypowiadając powyższy sąd w sprawach aż nazbyt dobrze znanych ludziom interesowanym, nie miałem całkowicie zamiaru wątpić w wiedzę i znajomość rzeczy u poszczególnych osób, ale zasadniczo jedynie zwrócić pragnąłem uwagę na to, iż jak długo wyniki ich badań nie zostały uprzystępnione szerszej publiczności i nie podległy gruntownej krytyce naukowej, tak długo nie mają oni prawa — a chyba przyznać to sami muszą – wydawać stanowczych wyroków, zwłaszcza potępiających. Jeżeli zaś już odważają się na to, to niech przynajmniej uważają sobie za obowiązek dokładne rozpatrzenie każdego poszczególnego wypadku, argumentując go wystarczającymi dowodami.

Ponieważ zaś i w takim nawet razie łatwo narazić się na zarzut stronniczości, zatem najlepiej jest być całkiem łagodnym sędzią, który dokładnie zdaje sobie sprawę z swej nie kompetencji, nie wynikającej jednak z osobistych powodów. To właśnie usprawiedliwić nas może całkowicie, uchylając od nas winę jakąś w oczach tych, którzy po nas przyjdą. Racjonalnym więc jest bezwarunkowo okólnik komisji centralnej, który bezwarunkowo nie pozwala na niszczenie cerkwi drewnianych, zapewniając ze swej strony pomoc pieniężną w wypadkach, w których gmina nie byłaby w stanie pokrywać wydatków, związanych z konserwacją nowej cerkwi murowanej i starej drewnianej. Przepis ten powinien być dla nas linją wytyczną w każdorazowej kwestji, wynikającej z zamiaru konserwowania wszystkich zabytków architektury drewnianej. *B. J.*

MONETY I INNE ZABYTKI RZYMSKIE.

Od najdawniejszych czasów znajdowano w rozmaitych miejscowościach mnóstwo monet rzymskich, a w kilkunastu tylko przypadkach dostały się one w odpowiednie ręce i zostały zarejestrowane z podaniem prowenjencji w odnośnej literaturze, chociaż niekoniecznie zachowane w okazach. Jak wielką dla nauki wartość przedstawiają zabytki numizmatyczne, których miejsce znalezienia, oraz towarzyszące im okoliczności są dokładnie znane, tak przeciwnie bardzo mało stosunkowo ceni się okazy, o których nie wiemy skąd pochodzą i w jaki sposób ujrzały napowrót światło dzienne. Większa ilość umiejętniej opisanych podobnych znalezisk, oznaczona według miejsca odkrycia na kartach archeologicznych daje nam sposobność poznania dróg, jakiemi wdzierały się wpływy obcej kultury w obszary danego kraju i tłumaczy nam w ten sposób wiele zagadkowych pytań z minionych dziejów kraju.

Z licznych okazów nagromadzonych po krajowych muzeach (muz. krak. Akad. umiej., muz. Lubom. we Lwowie i wiele prywatnych zbiorów) znikomo mała ich liczba tylko oznaczona jest co do pochodzenia i to niezawsze upewniająco o dokładności podanych szczegółów. Z spostrzeżeń jednak uczynionych przez nas okazuje się, iż największą ich ilość znaleziono w południowo-wschodniej Galicji, w dorzeczu rzeki Dniestru. Co zaś do czasu, z którego ogółem wziąwszy pochodzą, to w oznaczeniu tegoż, mimo bardzo skąpych danych w literaturze, kierowałem się zasadą, iż najwięcej obecnie trafia się okazów z gatunku najbardziej kiedyś rozpowszechnionego i tem samem mniej podlegającego zarzutowi wyjątkowości. Poszczególne monety, pochodzące z rozmaitych okresów czasu, służą w ten sposób wskaźnikami ich dawniejszego rozpowszechnienia w danym wieku i uprawniają na podstawie porównania ilości znalezionych pojedynczych okazów tego samego gatunku do wyciągnięcia wniosku na panowanie jakiego imperatora przypada największe ich rozpowszechnienie.

Monet z czasów przedimperatorowych nie znajdzie się w Galicji wcale, a zaczynają się one pojawiać dopiero za panowania Augusta Oktawiana (30 prz. Chr. — 14 po Chr.) i sięgają najdalej pierwszej połowy trzeciego wieku po Chr. Z piętnastu miejscowości, znanych mi z znalezisk monet rzymskich na jedną tylko przypada moneta pierwszego cesarza Augusta. Z czasów następców jego Tyberyusza (14—37), Kaliguli (37—41) i Klaudyusza (41—54) niema zanotowanej żadnej monety i dopiero z czasów Nerona (54—68) mamy dwa okazy, znalezione w dwóch — z owych piętnastu — miejscowościach. Monet trzech po sobie w krótkim czasie następujących imperatorów Galby, Ottona i Vitelliusa (68—69) również nie znamy z galicyjskich znalezisk. Wespazyana (69—79) znaleziono w jednym tylko okazie monety srebrnej z rysunkiem Minerwy. Czasów Tytusa (79—81) nie reprezentuje żadne znalezisko, Domicyana (81—96) zaś dwa okazy, jeden srebrny z wizerunkiem Marsa, drugi z Centaurem. Między Domicyanem a Trajanem jest przerwa za czasów Nerwy (96—98). Od Trajana (98—117) zaś począwszy, aż do pierwszej połowy III. w. reprezentowani są wszyscy po kolei imperatorowie i to nawet bardzo znacznemi znaleziskami. Największa ich ilość przypada na panowanie Trajana, którego monety znajdują bardzo

często w pojedynczych okazach, a kilkakroć znaleziono w całych skarbach. W 1869 r. wyorał n. p. wieśniak w Świstelnikach (pow. Rohatyn) garnek z samemi monetami Trajana i sprzedał natychmiast żydowi na srebro. Podobnie większą ilość z tego samego wieku wykopano w Zalesiu (pow. Borszczów).

W 1909 r. odkryli przypadkowo pastuchy znaczny skarb monet rzymskich, sięgający czasów od następny Trajana, Hadryana (117—138) do Aleksandra Sewera (235) w podolskiej wsi Kasperowcach (pow. Zaleszczyki). Skarb leżał ukryty w rowie pod wielkim kamieniem, który z czasem podmyła woda deszczowa, wypłukując kilka monet na wierzch. To zwróciło uwagę chłopców, którzy odwalili kamień i w przeciągu trzech dni wydobyli z tego miejsca kilka kilogramów srebrnych monet (około 1000 sztuk), rozsypanych wolno w ziemi bez żadnego naczynia. Srebrne jednakowej wielkości i dobrze zakonserwowane są to t. zw. sestercye (nummus sestercius), używane jako moneta zdawkowa.

Również większą ilość monet z pierwszej połowy III. w. po Chr. znaleziono w glinianem naczyniu w 1890 r. we wsi Dubowicy (p. Kałusz), w Utoropach (p. Kossów), tudzież w Zadarowie (pow. Buczacz). Największa ilość egzemplarzy przypada na czasy Trajana, reszta zaś na Hadryana, Ant. Piusa (138—161). Marka Aureljusza (061—180), Kommodusa (180—192) i D i v a e F a u s t i n a e, żony Ant. Piusa i żony M. Aureljusza.

Panowanie tych cesarzy obejmuje czasy od 98—192 r., a więc około 100 lat II-go w. po Chr. Uzyskane w ten sposób dane, znajdują również potwierdzenie w faktach historycznych jak n. p. w wyżej wspomnianych dziejach wojen Trajana z Decebalem, królem Dacji.

Na podstawie tych często odkrywanych, jednak najczęściej bez śladu ginących znalezisk, czyniono niejednokrotnie przypuszczenie, iż kohorty rzymskie zapędzały się aż nad brzegi Dniestru i tu wznosiły swoje kastelle lub leża zimowe. Przypuszczenie to mimo faktu, iż Rzym oddziaływał znacznie w ciągu całego II. w. po Chr. na ziemie, rozciągające się w dorzeczu Dniestru, mają zbyt mało prawdopobieństwa, chociaż nawet jest w Galicji coś w rodzaju L i m e s, pasu fortyfikacyjnego między górnym Renem, a górnym Dunajem, osłaniającego od Germanów t. zw. a g r i d e c u m a t e s. Zagadkowym tym zabytkiem, w pobliżu którego znajdują wiele monet rzymskich, tudzież bronzowych przedmiotów jest t. zw. u ludności w a ł T r a j a n a, wysokie, kilka kilometrów długie, podobne do wału usypisko ziemne nad Dniestrem i Zbruczem, którego przedłużenie ciągnie się na rosyjskiem Podolu i Besserabji. (D. n.)

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Maks. Goldstein. Einiges über öffentliche Münz — und Medaillensammlungen in Lemberg. Bruksela 1910.

Rzecz niniejsza jest odbitką z sprawozdań Międzynarodowego Kongresu numizmatyki i medaljerstwa, który odbył się roku zeszłego w stolicy Belgii, w Brukseli. W pracach Kongresu tego brał udział reprezentant Krakowa p. Gumowski, który przedłożył rozprawę o monetach złotych Polski i p. M. Goldstein ze Lwowa, którego pióra jest właśnie informacyjna rozprawka niniejsza. Dla czytelnika polskiego, a tembardziej dla specjalisty w sprawach numizmatyki swojskiej nie przedstawia ona właściwej wartości, nie będąc też nato obliczoną; celem jej bowiem jest poinformowanie za granicy o tem, co zrobiono dotychczas we Lwowie dla numizmatyki polskiej i czem ta pochwalić się może wobec reszty Europy. Znajdujemy więc w szkicu p. Goldsteina omówione pobieżnie wszystkie publiczne zbiory lwowskie, posiadające jakiekolwiek numizmaty i medale polskie, przyczem wymienione są też nazwiska medaljerów i wykonawców co ciekawszych okazów. Obok poinformowania zagranicy wogóle co do numizmatycznej zawartości zbiorów lwowskich, przegląd ten najwybitniejszych artystów-rzeźbiarzy i medaljerów główną przedstawia wartość w rzeczy p. Goldsteina, ponieważ obznajamia cudzoziemców z przeszłością medaljerstwa polskiego i jego pracami teraźniejszemi. Cel swój poinformowania pokrótce i bez wdawania się w szczegóły osiągnęła po części rozprawka p. Goldsteina, zasługując dlatego na względną ocenę, a nawet uznanie. *J.*

N O T A T K I.

Płyty grobowe w Dublanach. Dnia 27. lipca b. r. oglądnął tu konserw. dr. A. Czołowski dawne cmentarzysko, na wzgórku ponad stawem dworskim, naprzeciw ogrodu botanicznego. Z pomiędzy liczniejszych dawniej płyt grobowych zachowały się na miejscu tem — gdzie położono już fundamenta pod nową cerkiew — jeszcze dwie płyty, po części już zdekompletowane. Jedna z nich, złożona z trzech odłamów, stanowiących całość, leżała na grobie Jana Alembeka, jak o tem głosi napis na niej, a druga (w fragmencie) jest płytą grobową Jana Wighta, Angielczyka, syna Jana. Na tej ostatniej widoczny jest gmerek mieszczański rodziny Wight'ów, nieznany autorowi „Patrycyatu". Na płycie Alembeka gmerek nie zachował się należycie, ale skąd inąd wiemy, iż przedstawiał on orła poza murami fortecy. Przy innej sposobności pomieścimy podobizny tych nagrobków wraz z dokładnym ich opisem, a na razie nadmieniamy iż na miejscu, na wspomnianem wzgórku cmentarnym, widoczne są ślady, wskazujące na znajdującą się tu obszerną kryptę grobową, najprawdopodobniej patrycjusza lwowskiego Jana Alembeka, znanego dobrze w dziejach Lwowa.

Na razie trudno wyjaśnić, skąd się wzięły właśnie w Dublanach grobowce dwóch tych znakomitych obywateli lwowskich, ale domyślać się można, iż są one śladem morowej zarazy, która szerzyła się straszliwie w 1642 r. we Lwowie i okolicach. Z kronik wiemy, iż mnóstwo mieszkańców uciekło przed i powietrzem, chroniąc się w zacisze wiejskie i być może, iż właśnie temu przypisać należy fakt, odkrycia w Dublanach grobów dwóch wybitnych patrycyuszów, którzy uciekli z miasta przed zarazą. Ze względu na większą wartość pamiątkową i inskrypcyjną dwóch tych płyt grobowych, zamierza dr. A. Czołowski przewieść je do Lwowa i umieścić w mającem się niedługo otworzyć lapidarjum przy muz. króla Sobieskiego. W tym celu polecił je na razie opiece gminy, dopóki nie zostaną przewiezione do Lwowa. *B. J.*

Z Drukarni Polskiej. Za redakcję odpowiedzialny Fr. Jaworski. Nakładem »Kurjera Lwowskiego«.